

PLAYBOY

EDYCJA POLSKA

Nr 2 (39) LUTY 1996
5,50 zł (55 000 zł)

**JOHNNY
DEPP**

Don Juan
de Hollywood

**KASIA
KOWALSKA**
Koncert
jeszcze inaczej

**TED
KOPPEL**
Nocny
kowboj

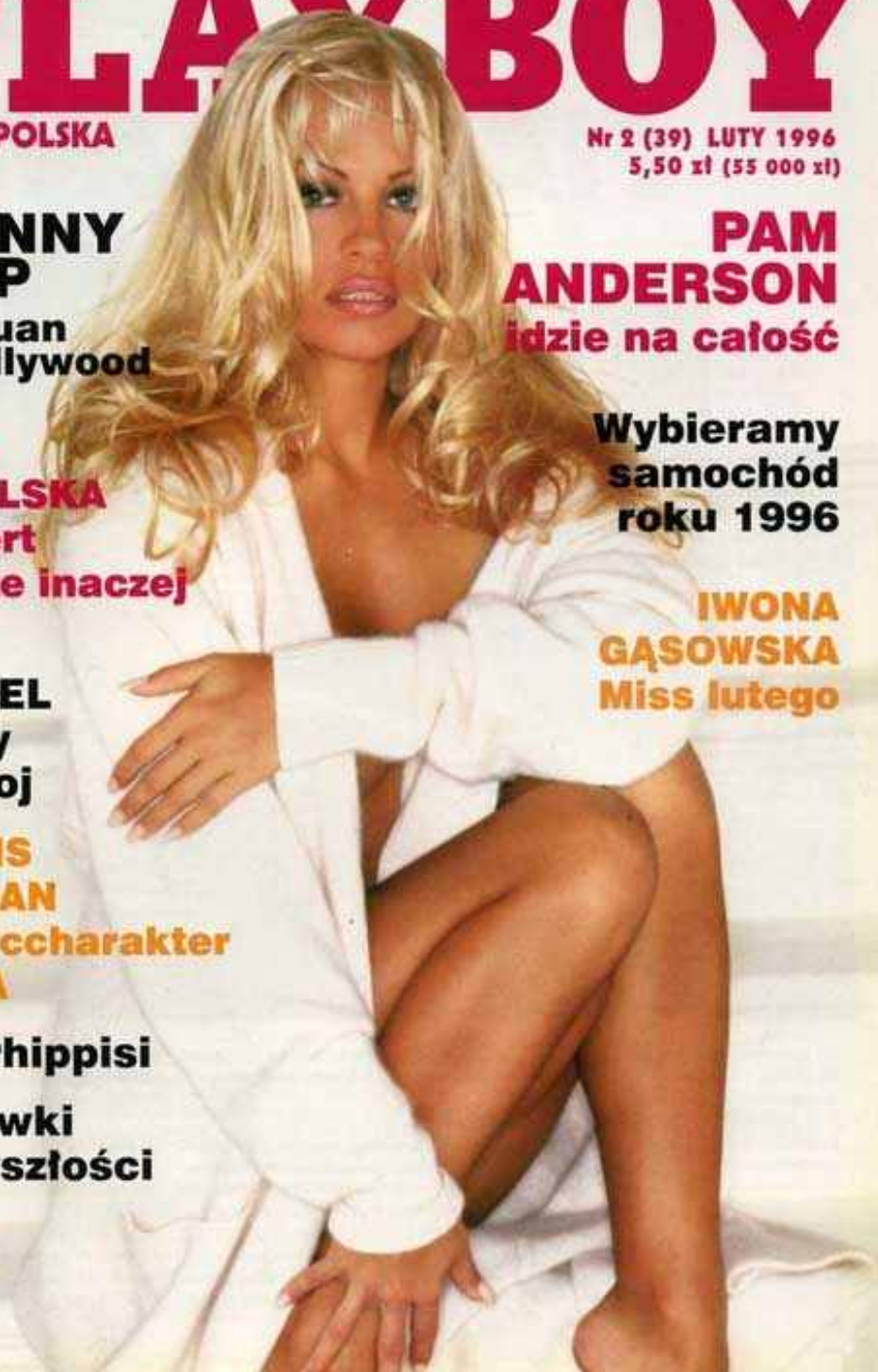
**DENNIS
RODMAN**
Szwarczarakter
w NBA

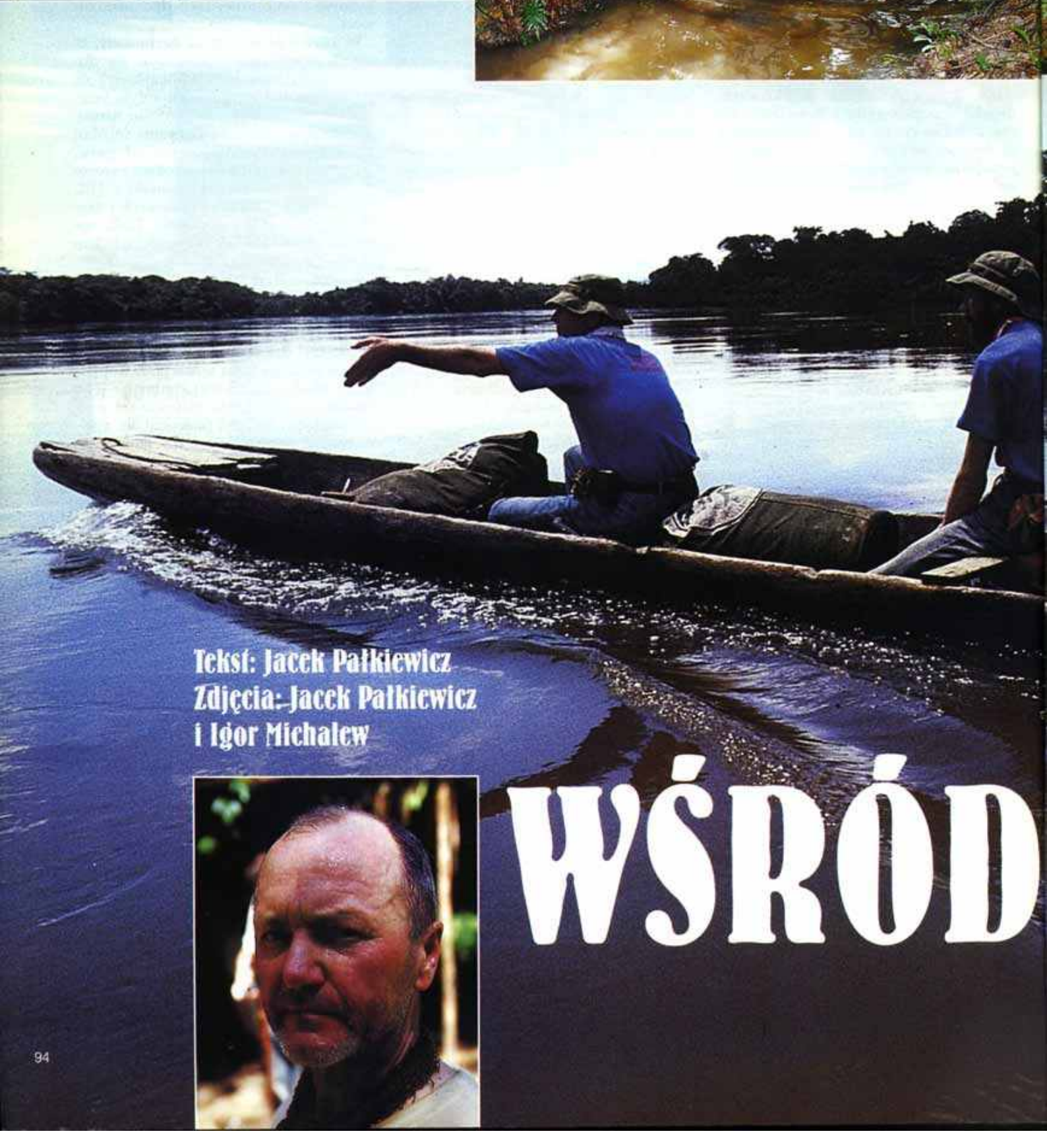
Cyberhippisi
Rozrywki
z przyszłości

**PAM
ANDERSON**
idzie na całość

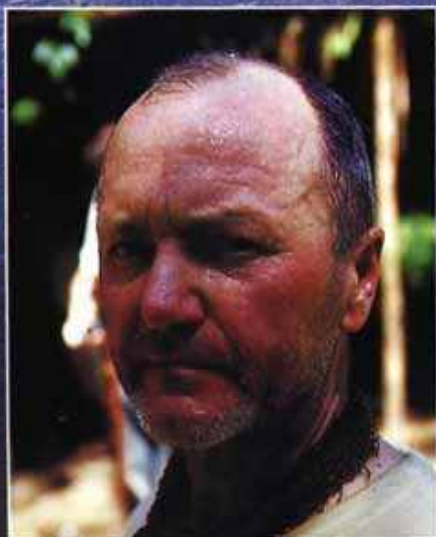
**Wybieramy
samochód
roku 1996**

**IWONA
GAŚOWSKA**
Miss lutego





Tekst: Jacek Pałkiewicz
Zdjęcia: Jacek Pałkiewicz
i Igor Michałew



WŚRÓD



D JANOMAMÓW

Każdy przybysz jest dla nich zagrożeniem, bo przynosi ze sobą choroby, przemoc i... śmierć

Piroga mknie między dwoma bajkowymi murami gęstej, splątanej roślinności, bez żadnej szczeliny. Przeraza nas nieznane, przeraza majestat tej przyrody. Zostaliśmy dosłownie pochłonięci przez tropikalny las, wierząc swoimi prawami i nieskonny do kompromisu z białym intruzem. Gęstwa zieleni, owady, klimat, w którym trudno żyć, zdradzieckie zasadzki – wszystko to zawsze utrudniało marsz cywilizacji.

Od kilku dni znajdujemy się w największej świątyni świata: w lesie wenezuelskiej Amazonii, jednym z największych uroczysk, jakie kiedykolwiek widziałem. Impozująca architektura przyrody odznacza się harmonią dzieła sztuki i wywołuje takie same wzruszenia.

Zapada wieczór, przejście od światła do ciemności jest nagle i nadal nie możemy dostrzec w zielonych ścianach żadnego wylotu, w którym moglibyśmy rozbić obóz. Przy ostatnich błyskach słońca przybijamy do brzegu i maczetami wycinamy małe, wąskie przejście wśród splątanych, bujnych pnączy. Na biwak wystarczy kilka metrów kwadratowych wolnej przestrzeni. Nie zdążyliśmy jeszcze rozwiesić hamaków, moskitier i rozbić namiotów, gdy grzmot rozdarł ciszę i z nieubłaganą furją spadł na nas ulewny deszcz.

Mimo zmęczenia, niewygód, napięcia i poczucia izolacji nie tracimy ducha. Po wielu biurokratycznych przeszkodach udało się nam dotrzeć do granic znanej nam cywilizacji, weszliśmy do zakazanego sanktuarium legendarnych Janomamów, plemienia, które zdołało się oprzeć gwałtownej inwazji świata zewnętrznego. Mając zezwolenie gubernatora Terytorium Amazonas wylądowaliśmy w Esmeralda, małej wiosce nad gigantyczną rzeką Orinoko, uznanej przez wszystkich za kres ekspedycji. Aby uchronić równowagę w przyrodzie i zabezpieczyć przyszłość tubylców, rząd w Caracas założył rozległy park, Parco Parimo Tapirapeko zamknięty dla wszystkich przybyszów z zewnątrz.

W Ocamo z pomocą ojca Giuseppe Bortolego, salezjańskiego misjonarza z Veneto, uzyskujemy zezwolenie Antonia Guzman, młodego urzędnika zajmującego się sprawami tubylców. On właśnie, rdzenny Janomam, jak wielu innych związany od lat z misją katolicką, zgłosił chęć towarzyszenia nam do osady mającej być obiektem naszych badań.

Napełniamy beczulki benzyną, by wystarczyło nam na pierwsze dni żeglugi, ładujemy zapasy żywności, leki, sprzęt, podarunki i o świcie opuszczamy Ocamo. Silnik pracuje na maksymalnych obrotach, bo musimy pokonywać porywisty prąd i omijać sterczące nad powierzchnię wody skały.

Po trzech godzinach słońce zaczyna mocno przypiekać. Zatrzymujemy się w małej zatoczce, by rozprostować nogi i trochę się posilić. Z dżungli dochodzi niezgrany chór małpich głosów, przenikliwy świergot ptaków oraz inne nie zidentyfikowane dźwięki, krzyki i wycia. Dżungla

wydziela intensywny i cierpki zapach gnijących liści. W wilgotnym, dusznym powietrzu unoszą się gęste jak mgła chmary komarów. Nie ma sposobu, by je przepędzić, jesteśmy już prawie zmasakrowani ukąszeniami, które powodują nieznośne swędzenie.

Po południu wpływamy na rzekę Jenita, której bieg jest kręty jak górskiego potoku, ale jeszcze szybszy i groźniejszy. Na pewnych odcinkach szerokość rzeki nie przekracza dziesięciu metrów.

Teraz jeden po drugim zasypiamy w dżungli pulsującej życiem nocnym, pełnej niewidzialnych drapieżników. W półśnie słyszę głos Florencia Yavico, Indianina pełniącego funkcję motorniczego: „Tygrysy, tygrysi!” Bardzo blisko rozlega się istotnie ryk jaguara, którego oni nazywają tygrysem. Machając kapeluszem usiłuję ożywić wątle płomyki, które ledwo oświetlają biwak. W słabym świetle widzę Antonia już na nogach, zelektryzowanego, z łukiem gotowym do strzału.

Od kilku godzin Antonio siedzi na dziobie obserwując uważnie rzekę. W pewnej chwili daje nam znak ręką, abyśmy się zatrzymali. Na małej polance stoją nieruchomo Indianie – ozdobieni piórami, całkiem nadzy z fantazyjnie pomalowanymi ciałami. Ze strzałami wycelowanymi w nas mówią coś agresywnym i wzburzonym tonem. Nasz Indianin przemawia do nich przez długie minuty, po czym Janomamowie – „Wojowniczy naród”, jak sami siebie nazywają – dają znak, że możemy iść za nimi. Kręta ścieżka przecina bezlitosną roślinność, która przesłania światło słońca i uniemożliwia wszelką orientację w terenie. Ścieżka jest lepka i zdradliwa, zagrażają ją obalone, porośnięte mchem pnie drzew. Nasze ubrania są mokre od potu, pajęczyny jak wilgotna gaza przylepiają się do twarzy, często zapadamy się w szlam aż po kolana. Pada deszcz, ale ponieważ już i tak jesteśmy całkiem mokrzy, nie sprawia to nam większej przykrości. Przestraszonego pancernika za krzakami dosięga w sekundę strzała Indianina. Dopiero po czterech godzinach marszu docieramy do *shapono*, wielkiej, okrągłej chaty-wioski, w której mieszka około dziesięciu rodzin z plemienia Kakaszieweteri.

Jest to miejsce z prehistorii, jeszcze nie tknięte cywilizacją zachodnią, jeden z nielicznych zakątków naszej planety, w którym nie ma śladu naszej kultury. Przestraszone dzieci biegną do rodziców, by się schronić przed nami, dorośli zaś stoją nieruchomo, nie wykazując zainteresowania ani lęku. Jednakże w ciągu kilku sekund atmosfera się ożywia. Paru mężczyzn z przedziurawionymi nozdrzami, z włosami ostrzyżonymi w charakterystyczny wianuszek, zaciekawionych, z wahaniem, zbija się w gromadkę. Wydają się podekscytowani. Wyrażają zdziwienie brodą Witalija Sundakowa. Robi na mnie wrażenie szybkość, z jaką potrafią zmienić wyraz twarzy: od uśmiechu do zatroskania i groźby. Kobiety z pomalowanymi twarzami i koleczkami przewleczonymi przez nozdrza

i wargi śmieją się ukradkiem i nieśmiało trzymają na uboczu.

„Tusziana”, wódz plemienia – jego jedynym przyodziewkiem jest kawałek cienkiej liany, którą przywiązał sobie penis do brzucha – przyjmuje nas obojętnie nie przerywając bujania się w hamaku z włókien roślinnych. Jego twarz niczego nie wyraża, jego gesty i szept są niezrozumiałe. Potem Antonio podkreślił wagę tego, że szef plemienia nas przyjął, gdyż jak dotąd żaden cudzoziemiec nie postawił tu nogi. Podczas gdy starzec nadal ssie grubą kulę tytoniu zmieszanego z popiołem, którą trzyma pod dolną wargą, my wyciągamy nasze dary. Przypominam sobie jednak radę ojca Bortolego, by proponować Indianom wymianę, a nie przyzwyczajając ich do otrzymywania czegoś za darmo. Tak więc za maczety, garnki, koraliki, haczyki, żyłkę nylonową otrzymujemy koszyki z lian, luki, strzały, ozdoby z piór. Ze zdziwieniem stwierdzam, że mają oni już trochę garnków i maczet. Antonio wyjaśnia, że między różnymi grupami Janomamów istnieje tradycyjna wymiana łańcuchowa, nie powinniśmy się więc dziwić, jeśli gdzieś w głębokiej dżungli zobaczymy przedmioty używane przez białych.

Życie w *shapono* płynie poza czasem. Dla Indian nie istnieje pojęcie jutra ani wczoraj, jest tylko dziś. Umieją liczyć do trzech, wszystko, co wykracza poza tę cyfrę, określa się słowem *bruka*, co znaczy dużo. Jest to życie bez trosk i lęków. Choć oczywiście boją się oni chorób.

Wieczorem niektórzy mężczyźni wdychają *epena* – proszek halucynogeny umożliwiający, według wierzeń plemienników, wejście w świat duchów, które prosi się o pomoc, uzdrowienie, zwiększenie swojej siły i zapewnienie dobrych łowów. Jeden Indianin przykłada do nozdrza długą bambusową rurkę, podczas gdy drugi dmucha mocno w drugi jej koniec: mała dawka narkotyku dostawszy się do nosa powoduje, że mężczyzna gwałtownie odchyła się do tyłu. Indianin zaczyna drzeć, chwytając się rękami za głowę jakby chciał chronić czaszkę przed rozpadnięciem się. Wzrok ma nieobecny, po kilku chwilach popada w stan silnego odurzenia.

Jest to dla nas niezwykle przeżycie, w pewnym momencie czujemy się jak intruzi, uświadamiamy sobie, że nasze dobra materialne mogą gruntownie zmienić ich tradycyjny sposób życia. Aby uchronić naturalną prostotę, w jakiej żyją, nie należałoby się do nich zbliżać. Każdy przybysz z zewnątrz stanowi potencjalnie zagrożenie dla ich przyszłości.

W 1986 roku nad rzeką Catrimani w Brazylii odkryto nowe Eldorado. W ciągu paru miesięcy na ziemię Janomamów wtargnęły dziesiątki tysięcy *garimpeiros* – poszukiwaczy złota – przynosząc ze sobą choroby, przemoc i śmierć. Dziś ta podzielona armia rozprzestrzeniła się również na terytorium Wenezueli, gdzie jest bardzo dużo złota. Nawalnica ludzi łatwo naciskających na spust zmusza Indian do opuszczania swojej ziemi. Od czasu do czasu wojskowi z Gwardii Narodowej



przybywają tu śmigłowcami, by niszczyć pasy startowe oraz obozowiska zakładane w ciągu paru dni przez poszukiwaczy złota.

„W tej walce jesteśmy bezsilni – powiedział mi pewien porucznik. – Nasi przelotni nie chcą ofiar w ludziach, incydentów, które mogłyby spowodować konflikty z potężnym sąsiadem – Brazylią, aresztowań. Potrzebny byłby samolot, by zawieźć aresztowanych do Caracas, a następnie pieniądze na transport do granicy tych

osobników, którzy mogą znów powrócić, wtargnąć na ziemie Indian i zatrwać rzeki rtęcią. Ich obecność poważnie zagraża plemieniu, które może bezpowrotnie zniknąć”.

Na razie Janomamowie znajdują jeszcze przestrzeń do życia w najgłębszym lesie. Ale na jak długo?



Reportaż znajdzie się w książce Jacka Palkiewicza zatytułowanej „No limits”, która ukaże się wiosną tego roku, nakładem wydawnictwa Bellona.

